Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 44 Warszawa, Niedziela, 8 listopada 1936. Rok I

SZTUKA ŻYCIA

O kumulantach dobrych posad w T.K.K.T. i Operze

Redakcja nasza otrzymała następujący list otwarty do Pana Premiera Generała Sławoj - Składkowskiego. Ze względu na aktualność i wagę poruszonej w liście tym sprawy, niejednokrotnie, przy innych okazjach omawianej na łamach naszego wydawnictwa, list drukujemy w całości.

„Panie Generale!

My, niżej podpisani, rezerwiści Rzeczypospolitej, zwracamy się do Pana Generała o łaskawą ingerencję w sprawie, która nas boleśnie dotyka.

Od dłuższego czasu jesteśmy świadkami i ofiarami stosunków wytworzonych za kulisami teatrów przez nie etyczne postępowanie kierowników administracyjnych T. K. K.T. i Opery Warszawskiej. Kierownicy administracji, kumulując w swych rękach szereg posad, nie zwracają najmniejszej uwagi na panującą w okół nędzę i bezrobocie. W jaskrawy sposób przeciwstawiają się i lekceważą wprowadzenia w czyn zasady sprawiedliwości, osłabiając tym państwo. Niesprawiedliwy podział dochodu społecznego jest jedną z ciemnych stron naszego życia, stanowiąc źródło niezadowolenia i rozgoryczenia szerokich mas, jest to niewspółmierność zarobków pewnej grupy ludzi do zarobków głodowych w całym kraju. Drugą ciemną stroną jest system chroniczny zatrudniania emerytów i ludzi zamożnych, mających z czego żyć.

Pozbawianie tej pracy ludzi młodych i zdolnych, mających obowiązek utrzymywania swych rodzin, ludzi, którzy poza znajomością swej pracy i zdrowiem, żadnego innego zabezpieczenia nie mają jest niedopuszczalne.

Czyż postępowanie takie nie jest przestępstwem wobec Państwa? W dobie panującego kryzysu i olbrzymiego bezrobocia, gdy Rząd i całe społeczeństwo mobilizuje się w celach pomocy bezrobotnym, kumulowanie kilku stanowisk w jednym ręku jest zjawiskiem nie tylko aspołecznym, ale — mówmy śmiało — jest antypaństwowym. Taka polityka personalna w instytucjach subwencjonowanych przez rząd i instytucje społeczne jest wysoce niewłaściwa i krzyżuje wysiłki Rządu i społeczeństwa. Kiedyż więc wreszcie przestanie się tolerować ludzi, którzy swym postępowaniem aspołecznym i kumulowaniem posad zwiększają panującą nędzę i kadry bezrobotnych, szczególnie w młodym pokoleniu.

W myśl okólnika, wydanego do wszystkich Panów Ministrów, w którym poleca się przesłać do Rady Ministrów listy urzędników, pobierających dodatkowe wynagrodzenia, z tytułu pełnienia dodatkowych funkcji w administracji państwowej w instytucjach przez Państwo subwencjonowanych i nadzorowanych, przekraczające w ciągu roku jednomiesięczne pełne uposażenie, jest w naszym pojęciu zarządzeniem nie wystarczającym, gdyż w instytucjach subwencjonowanych i prywatnych dodatkowe te zarobki i posady były przyznawane nie z racji rzeczywistych zasług w pracy, ale przeważnie z tytułu usług innej, nie zawsze ujawnionej natury.

Zajmując po kilka posad na raz, biurokraci nie mają poprostu czasu na solidne zajęcie się cząstką spraw przez co interesy państwowe i społeczne są często poważnie narażone.

Piętnując egoistycznych samolubów, którzy w swym sytym zadowoleniu dbają tylko o siebie, nie zwracając najmniejszej uwagi na hasło Pana Generała, który oświadczył że idzie na patrol życia Polski oraz dalej, że trzeba zacząć „surowe życie", co w naszym pojęciu między innymi oznacza i to, iż chodzi o zmniejszenie dysproporcji dochodów osobistych jednych jednostek w tym celu, aby dać pracę i chleb najbardziej potrzebującym. Celem ułatwienia znalezienia tej pracy, i chleba, komunikujemy Panu Generałowi:

1) *Największym kumulantem jest kierownik T.K.K.T. p. Bronisław Rostkowski, który oprócz poborów urzędnika T.K.K.T. w wysokości 1000 zł. i dodatków do tych poborów jako kierownik w sumie 500 zł., otrzymuje jeszcze emeryturę z Kasy Miejskiej, jako b. intendent teatrów miejskich w wysokości 800 zł.*

a) Jako kierownik administracji T.K.K.T. redukuje on systematycznie co rok pracowników wykwalifikowanych, przeważnie młodych, a na ich miejsce przyjmuje bogatych obywateli Radzymina, m. in. ojciec i syn Dąbkowscy.

b) W ciągu ubiegłego roku zredukował 12 pracowników, motywując tym, że ma „ludzi rządowych" z Ministerstwa, których musi zatrudnić, gdyż w przeciwnym razie Ministerstwo wstrzyma subsydium". W rezultacie zostają przyjęci ludzie, rzekomego Ministerstwa, którzy najmniej potrzebują pracy".

c) Jako Prezesa Koła 687 L. O. P. P. w teatrach, gdzie jest przeszło 150 osób, nic, ale to nic kompletnie nie robi, gdyż nawet znaczków nie wkleja do legitymacji, nie mówiąc już nawet o uświadamianiu członków w zakresie obrony przeciwgazowej.

2) *Kumulantem jest również kierownik administracji Opery Warszawskiej p. Adam Dobosz, który jako kierownik tej Opery otrzymuje pobory w wysokości 600 zł. i będzie również otrzymywał honorarium aktorskie za występy, a na dodatek jeszcze emeryturę z Kasy Miejskiej w wysokości 600 zł.*

a) Po objęciu Kierownictwa administracji oświadczył byłym pracownikom Opery, że — choć bardzo mu przykro, gdyż szanuje organizacje pracownicze, których nawet sam był długie lata członkiem, jednak angażowanie do Opery musi się odbywać „indywidualnie". Swoje stanowisko umotywował zastrzeżeniem Zarządu Miejskiego".

b) W dobie, gdy Rząd i całe społeczeństwo dla powstrzymania idącej wraz z zimą wielkiej fali bezrobocia i nędzy zdobywa się na jak największe wysiłki, p. Dobosz zatrudnia całe rodziny emerytów i różnych kumulantów, jak choćby p. Pokrowskiego, który jest emerytem teatrów miejskich i pracownikiem Polskiego Radio, dając mu dodatkową pracę wieczorową w Operze i szatnie w dzierżawę.

c) Aby zatrudnić podobnych ludzi, trzeba było zwolnić tych, którzy tej pracy najbardziej potrzebują, a więc jeden z byłych pracowników Opery powrócił z wojska i zgłosił się do P. Kierownika Administracji Opery, z prośbą o zatrudnienie, stwierdzając, że jako byłemu pracownikowi, który odbywał służbę wojskową, należy mu się pierwszeństwo. W odpowiedzi na to p. „Dobosz stwierdził, że właśnie dlatego pracować nie będzie.

Podajemy powyższe wypadki do wiadomości Panu Generałowi i jeżeli Pan Generał uzna naszą akcję za słuszną, to my ze swej strony stwierdzamy, że możemy Mu ułatwić „patrolowanie" życia społecznego, nadsyłając takie meldunki dalej, gdyż wypadków takich jest więcej, a naszym zdaniem — w obecnym położeniu gospodarczym Rzeczypospolitej kumulowanie dochodów z kilku źródeł przez poszczególne jednostki powoduje brak pracy, szczególnie w młodym pokoleniu, które po odbyciu służby wojskowej niema żadnej obrony i opieki, a naszym zdaniem Stolica, ze względów prestiżowych i skupiająca ośrodki życia społecznego, winna przede wszystkim być przykładem dla całej Rzeczypospolitej i tolerowanie powyższych spraw jest wysoce nie na miejscu, kończąc swój list kreślamy się z szacunkiem:

Warszawa, dnia 28 październ. 1936.

Kapr. rez. 1. P.A.P.L. Świderski Henryk, Czerniakowska 27 m. 3.

Kapr. rez. 1. D.P.P. Pręgowski Wacław, zam. Nowolipie 66 — 9.

Kapr. rez. 77 P.P. Balcerowski Józef zam. Białostocka 41 — 6.

Kapr. rez. 20 P.A.L. Kuna Stanisław zam. Janowska 16 m. 18.

Star. szer. rez. 1. D. S. Pszczoła Feliks zam. Dobra 57 m. 1.

Saper rez. B. E. Kowalewski Czesław, Wolność 10. m. 98.

Szer. rez. R. M. Sakuski Wacław Stalowa 28 m. 86.

Szer. rez. 85 P.P. Bubiak Czesław, Focha 5/7 — 21.

Szer. rez. 86 P. P. Fafrowicz Michał, Marszałkowska 57—26.

W tygodniu ubiegłym zmarł po długotrwałej chorobie

Ignacy Daszyński

najbardziej świetlana postać Polskiej Partii Socjalistycznej

NR. 43 TYGODNIKA „WIEM WSZYSTKO" ULEGŁ KONFISKACIE ZA ARTYKUŁ: „SUROWE ŻYCIE" PREZESA. POSEŁ SNOPCZYŃSKI — „MAEDHEN FÜR ALLES". NATYCHMIAST PO KONFISKACIE WYDALIŚMY NAKŁAD DRUGI, KTÓRY DO SPRZEDAŻY ULICZNEJ I NASZYM PRENUMERATOROM DOSTARCZONY ZOSTAŁ JAKO NR. 44.

Minęło dziesięć lat...

Rzeczywistość dzisiejsza, a maj 1926 r.

Cechą charakterystyczną dla ludzi jest konieczność sporządzenia rachunku życiowego. Z tego założenia najprawdopodobniej wychodził Kościół, powołując do życia stanowisko spowiednika. Stąd też wypływa pęd człowieka w poszukiwaniu kogoś bliskiego, z kim można byłoby podzielić się swoją radością, nadzieją, troskami i smutkami.

Wieśniak, gdy minie okres zasiewów i zbiorów zasłużonych żmudną, znojną pracą od świtu do zmierzchu, jesienią późną i zimą, jako skrzętny gospodarz, rozgląda się po pustych, czy śnieżnych ugorach, rozważa doświadczenia roku ostatniego i lat ubiegłych, by tą drogą dobrobyt rodziny zapewnić a jednocześnie przyczynić się do wzbogacenia gospodarstwa narodowego.

Lekarz, żniwo pracy długoletniej wyzyskuje dla sprawniejszego zwalczania plagi ludzkich chorób. Uczony, inżynier, wynalazca ciągle rozważają zdobycze nauki i techniki, aby unikając *błędów dnia wczorajszego swoich poprzedników* i w oparciu o ich dorobek, prowadzić ludzkość na coraz większe wyżyny.

Robotnik, jako nieodzowny wykonawca planów i projektów wspomnianych teoretyków, dzięki staraniu o coraz większą kulturę społeczną, wspartą na zdrowym ruchu zawodowym, stwarza podwaliny do istnienia państwa i narodów.

Ale to wszystko nie wystarcza!

Obok korzyści realnych jakie wypływają z czynności codziennych wieśniaka, uczonego, lekarza, inżyniera, nauczyciela i robotnika powinna istnieć, jako wartość nadrzędna — Idea!

Ideą zaś może być zdolność do samopoświęcenia, do ofiary całopalnej dla dobra swojego narodu, czy ludzkości, bez względu na to: czy dosięgnie nas jaka zapłata osobista, wynagrodzenie za poniesione trudy.

A za tym bezinteresowność, gdy idzie o dorobek idei.

Z tego punktu widzenia winniśmy ocenić w roku, w którym minęła dziesiąta rocznica — czynu majowego, winniśmy spojrzeć na rzeczywistość dzisiejszą Polski, i zdać rachunek sumienia za miniony dziesiątek lat.

Aby należycie scharakteryzować doniosły ten moment, w życiu Polski, musimy podobnie jak wieśniak w swej zagrodzie, uczony, lekarz, i inżynier w pracowni, lub robotnik w instytucji zawodowej rozważający swój dorobek — zdać sobie sprawę z przebytej przez naród polski drogi ostatnich dziesięciu lat.

Na drodze tej jak najbardziej uwidocznią się skutki *bezideowości* Polaków, którym dziejowe wydarzenia wyznaczyły przodujące miejsce.

I oto przyszedł 1926 r.

Nad Polską zawisły chmury ciemne, złowrogie, dynamiczne, zwiastujące nieszczęście.

Cały naród widział te chmury i odczuwał głębią swej duszy zbliżającą się katastrofę, która zagrażała bytowi naszemu, jako Państwa Niepodległego. Działo się wówczas coś niezwykłego. Oczekiwano kogoś, kto przyjdzie z pochodnią radości i szczęścia. Oczekiwano zbawcy, który przyjdzie i ukróci zło i uchroni Polskę przed jej niechybnym upadkiem.

Oczekiwania sprawdziły się.

Oto 12 maja 1926 r. wyszedł z zacisza swego w Sulejówku Józef Piłsudski i na czele wiernego wojska wkroczył do Warszawy.

Pamiętnej nocy z dnia 12 na 13 maja 1926 r., po wkroczeniu do Warszawy, Marszałek Józef Piłsudski przyjął w zajętej przez siebie Komendzie Miasta, przedstawicieli prasy, którym oświadczył, co następuje:

„Nie mogę długo mówić, jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak i moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa zdobyłem się po ciężkiej walce z samym sobą, na próbę sił z wszystkiemi konsekwencjami.

Całe życie walczyłem o znaczenie tego co zowią imponderabilia: jak honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne, czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości".

Powyższe oświadczenie Józefa Piłsudskiego jest tak wymowne i w tak dobitny sposób charakteryzujące ówczesną rzeczywistość Polski, że nie wymaga komentarzy.

Idziemy więc dalej.

W dniu 22 maja ogłoszono rozkaz dzienny Marszałka Józefa Piłsudskiego do żołnierzy, w rozkazie tym między innymi czytamy:

„Żołnierze!!!

Nie po raz pierwszy słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało, jak chorowite dziecko, prowadziłem was w boje, które w zwycięstwach, pod mojem dowództwem wywalczonych, na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskie nasze sztandary.

Po innych bojach przemawiam do was dzisiaj. Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi mocniejszy nad inne węzły ludzkie. Gdy bracia się waśnią, miłość i węzeł pęka, waśń ich — również silniejsza jest nad inne. To prawo życia ludzkiego.

Daliśmy mu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą kilkudniowe walki. W jedną ziemię padła wszystka krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną.

Niechaj krew gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszemi będzie naszym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi...

...A jednak chcę być pewnym, że nie kto inny, jak żołnierz polski pierwszy się ocknie, pierwszy do zgody, i braterstwa stanie... Staniemp, jak zawsze, jeden obok drugiego, by dać za ojczyznę życie, a wspomnienie o bojach majowych w Warszawie, o tych walkach, któreśmy ze sobą stoczyli, nie dzielić, lecz łączyć nas wtedy ze sobą będzie, jak wspomnienie gwałtownej sprzeczki między kochającymi swą rodzinę braćmi.

...Znacie mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować, jako tego, który Was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnem zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści pilnować lub dochodzić...".

W kilka dni po wypadkach majowych w dniu 24 maja 1926 r. Marszałek Józef Piłsudski udzielił wywiadu przedstawicielom prasy, oświadczając między innymi, co następuje:

"...Toczę usilną walkę o naprawę stosunków w Rzeczypospolitej, specjalnie zaś w wojsku. Walka ta w swoich perypetiach nie dawała nigdy pozytywnego rezultatu. Tak że wydawało mi się, że przeciwko moim postulatomześrodkowały się wszystkie siły, które według mnie zatrzymywały proces rozwoju Polski, a zwiększając ustawicznie demoralizację i gangrenę aparatu państwowego, czyniły dla mnie niemożliwem trwanie dłużej w bezczynności. Oburzała mnie specjalnie absolutna bezkarność wszystkich nadużyć w Państwie i wzrastająca coraz bardziej zależność Państwa od wszystkich „nuworyszów", którzy narówni ze mną i wielu ludźmi przyszli do Państwa Polskiego ubodzy i zdążyli kosztem Państwa i kosztem wszystkich obywateli w kilka krótkich lat wyrosnąć na potentatów pieniężnych chcąc, by ku hańbie naszej Ojczyzny Państwo we wszystkich drobiazgach należało do nich...".

Jak przykra, jak bolesna w swej prawdzie była ówczesna rzeczywistość Polski, rzeczywistość, która szybkimi krokami szła ku nieuchronnej katastrofie. Najpiękniejsze, najszlachetniejsze ideały i wartości człowieka zamieniły się w żądzę pieniądza. Pogoń za pieniędzmi, była w owym czasie tak wielka o zasięgu wgłąb i wszerz, że interes Państwa schodził na drugi plan. Za dużo było w tym czasie „niesprawiedliwości względem tych, co pracę dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości", — tymi słowy określił Marszałek Piłsudski ówczesną rzeczywistość Polski.

To fakty historycznie stwierdzone. Marszałek Józef Piłsudski wkroczywszy na czele wiernego wojska do stolicy, po parodniowych zwycięskich walkach, objął władzę w państwie.

Do pracy powołał swych ludzi, powierzając im rządy w państwie i obarczając ich sumienia odpowiedzialnością za wprowadzenie w życie *„imponderabilii"*, dla których dokonany został zamach stanu i dla których została przelana na ulicach krew — a jak określił Piłsudski *„krew ta gorąca najcenniejsza w Polsce, krew żołnierza pod stopami naszemi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi".*

Minęło lat dziesięć.

Przeżyliśmy wiele — wiele przykrych i bolesnych faktów, które przechodzą do historii jako najsmutniejsze wydarzenia po 1926 r.

Minęło dziesięć lat, w których miała zatriumfować *Prawda*. Miała zatriumfować *Idea*. Miały zwyciężyć i zapanować „...imponderabilia", jak honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka...". A „...krew ta gorąca najcenniejsza w Polsce, krew żołnierza pod stopami naszemi..." miała być *„nowym posiewem braterstwa... i wspólną dla braci prawdę głosić".* Miała zjednoczyć Naród. I cóż się stało?

Bolesław Kaniowski.

Ładna „Myśl Państwowa"

Rzeczywistość dzisiejsza roi się od wszelkiego rodzaju wydrwigroszów, węszących za okazją łatwego, ale nie zawsze uczciwego zarobku.

Okazją taką w roku bieżącym stały się uroczystości związane z odsłonięciem pomnika Jana Kilińskiego.

Do stołecznych mistrzów cechowych napłynęły wówczas kwestionariusze wydawnictwa noszącego szumny i wiele mówiący tytuł: „Myśl Państwowa Polityczno-Gospodarcza".

Z treści tych kwestionariuszów wynikało, że przy redakcji wydawnictwa „Myśl Państwowa" zawiązał się komitet, którego celem ma być wydanie albumu p.t. „Praca i Święto Rzemiosła Polskiego". Do „współpracy" przy wydaniu tego „dzieła" komitet zapraszał adresata. Wślad za kwestionariuszami zgłaszali się agenci, którzy od oszołomionych „oficjalnością" sprawy rzemieślników, wymuszali zgodę na zamieszczenie życiorysu i fotografii w albumie, a przede wszystkim: brali zaliczki w kwotach — od pięciu do pięćdziesięciu złotych.

Album oczywiście nie ukazał się, mimo, iż miał ukazać się 15-go sierpnia, a „Myśl Państwowa", mieszcząca się ostatnio przy ul. Chmielnej 9, znikła w nie wytłomaczony sposób z powierzchni ziemi. W lokalu po niej mieści się obecnie — jakieś biuro handlowe.

G.

Chroń nas Boże,

Od takiej „Obrony i Prawa"

Ciekawe można poczynić spostrzeżenia, studiując rejestr handlowy warszawskiego Sądu Okręgowego. Pilny badacz tego pozornie tak nieciekawego spisu mógłby uczynić nie jedno sensacyjne odkrycie. Również do podobnie ciekawych wyników mogłoby doprowadzić badanie spisu stowarzyszeń Komisariatu Rządu. Nazwy biur i instytucyj, nad których działalnością daremnie by się głowiło... Poco istnieją? jakim celom służą? Niedawno przy okazji aresztowania aferzysty Konradi, zlikwidowano biuro o szumnym tytule „Obrona i Prawo". Nie zajmowało się ono ani obroną ani prawem, a biuro, o pięknej nazwie służyło jedynie sprytnemu aferzyście jako narzędzie różnych ciemnych kombinacji. Pamiętna jest historia biura... napisów filmowych przy ul. Trębackiej. Posiadało ono piękny lokal, przy biurku urzędowała wytworna urzędniczka, daremnie by jednak można było oczekiwać, ażeby z pod wypielęgnowanych paluszków „pani sekretarki" wyszedł list napisany na maszynie, rachunek i t. p. Biuro miało cele specjalne.

Współwłaściciele związani rzekomo bliższymi niemi z osobą jednego z cenzorów filmowych za fikcyjne oddanie filmu do przygotowania napisów wyjednywać mieli ulgi podatkowe. „Przedsiębiorstwo" to skończyło swój żywot usunięciem skompromitowanego urzędnika — a wówczas już pięknej sekretarce nie pozostało nic do roboty i biuro zamknięto. Przed rokiem zlikwidowały władze biuro pod nazwą „Propaganda". Miano propagować wszystko i wszystkich — skończyło się na propagandzie idei wyłudzania kaucji od pracowników.

A stowarzyszenia? Komisariat Rządu od pewnego czasu tępi energicznie te wszystkie komitety, towarzystwa, zjednoczenia i inne koła, których działalność sprowadza się albo do tego, że co roku wybiera się prezesa, któremu tytuł ten potrzebny jest dla zaspokojenia próżnych ambicji, lub najczęściej dla konkretnych celów, albo też chodzi o zamaskowaną działalność pod osłoną szumnej nazwy. A kiedy władza zajrzy bliżej do działalności tych instytucyj — okazuje się, że cele społeczne, towarzyskie, filantropijne to tylko szyldzik — a w rzeczywistości chodzi o korzyści osobiste, niekiedy zupełnie nie wybrednego gatunku.

Kontrola instytucyj i biur w Warszawie mogłaby doprowadzić do zlikwidowania tysięcy placówek o zupełnie ciemnych celach — na które pada światło dopiero wtedy, kiedy wybucha jakiś skandal albo wydarza się afera.

p.

Czyżby koniec Spekulacji budowlanej?

Jak wiadomo, w najbliższym czasie zostanie zniesiony przepis, dzięki któremu nowobudowane domy zwolnione były od podatku dochodowego. Przepis ten miał na celu popieranie rozbudowy. W okresie głodu mieszkaniowego w intencji władz leżało, ażeby jak najbardziej zachęcić kapitał prywatny do ruchu budowlanego. Dzisiaj ta sytuacja nie zmieniła się. Jeżeli mimo to władze zdecydowały się na tak zdawałoby się sprzeczny z interesami rozbudowy krok, to musiały mieć ku temu nader poważne powody.

Otóż okazało się, że

wprowadzona w interesie całego społeczeństwa doniosła ulga fiskalna,

została wykorzystana z całą brutalnością przez lichwiarski kapitał wyłącznie we własnym interesie. Spekulanci skorzystali skwapliwie z okazji i zaczęli lokować swoje dochody w budowie domów. Doszło do tego, że różne rekiny finansowe budowały sobie po dwa domy rocznie. W ten sposób skarb państwa zamiast otrzymywać od dochodów tych podatek — zostawał zwyczajnie mówiąc „kiwnięty"...

Bogacz warszawski pan Glass na tej drodze

unikał płacenia rocznie około 700.000 złotych podatku dochodowego!

Jednocześnie lichwiarze budowlani bynajmniej nie brali pod uwagę w swojej kalkulacji czynszu tego dobrodziejstwa fiskalnego. Ceny mieszkań w domach nowobudowanych, to prawdziwa orgia lichwy. Komorne oblicza się według tak zwanych „dziur" co w narzeczu kamieniczników oznacza izbę. Otóż za taką „dziurę"

gdzieś na peryferii miasta trzeba zapłacić 60—70 złotych miesięcznie.

Trzy pokojowe mieszkanie w domu nowowybudowanym kosztuje przeszło 200 złotych miesięcznie. Budowa przytem jest naogół tak tandetna, że więcej niż pewnem jest, iż za kilka lub kilkanaście lat kroniki Warszawy, krwawą taśmą przetną groźne katastrofy budowlane domów budowanych w obecnym okresie.

Każda cierpliwość ma swoje granice. Praktyki rekinów budowlanych nie mogły być dalej tolerowane. Przy kalkulacji komornego obecnie budowanych domów, przy obciążeniu podatkiem dochodowym nowozwnoszonych budowli

stawianie nowych domów to jeszcze złoty interes.

Należy więc mieć nadzieję, że władze uchyliwszy przepisy, które napełniały złotem kieszenie zuchwałych spekulantów zajrzą również w tajniki kalkulacji komornego. Czy w Berezie Kartuskiej jest miejsce tylko dla spekulantów ceglami? Ci, którzy cegły te pożytkują zasługują napewno na honorowe miejsce w obozie izolacyjnym.

Kilku Glasów w Berezie — a będzie po pasku mieszkaniowym.

O.

Jak licytowano ministra

Szambelan papieski nie lubi płacić!

Nie tak dawno pisaliśmy o ogłoszeniu upadłości przez Sąd Apelacyjny b. ministrowi Niezabytowskiemu.

Obecnie możemy donieść garść nowych informacji do tej naprawdę dziwnej sprawy.

Oto poszkodowany przez b. ministra Niezabytowskiego p. Krzeczkowski, mając

wyroki sądowe na sumę około 400.000 złotych,

pragnie uzyskać choć część swych należności. Nakłada za tym areszt na 3 samochody, znajdujące się w majątku pp. Niezabytowskich.

Jednocześnie p. Krzeczkowski decyduje się zająć ruchomości w mieszkaniu pp. Niezabytowskich w Warszawie.

Ale tu zaczynają się komplikacje.

Gdy bowiem zjawił się komornik, celem dokonania zajęcia,

służba nie wpuściła go do mieszkania,

pod pretekstem nieobecności właścicieli.

Nolens volens, komornik wysyła wtedy oficjalne pismo, zawiadamiające o terminie zajęcia i uprzedzając, że w razie jakichkolwiek przeciwności zastosuje przysługujące mu prawa.

W oznaczonym też czasie zjawia się komornik po raz drugi w mieszkaniu pp. Niezabytowskich. *Długo się jednak dobijał do drzwi* i dzwonił, za nim służba raczyła mu je uchylić, zabezpieczywszy się założeniem łańcucha.

Groźby, ani perswazje nie pomogły. Komornik więc musiał sprowadzić ślusarza i kazał mu

wytrychem otworzyć drzwi

i przepiłować łańcuch.

Zrozumiałe, że tego rodzaju hałaśliwa praca ślusarza, jak i głośne rozmowy komornika

wywołały ogromne zainteresowanie w całym domu.

Wkrótce też na schodach był taki tłum, jak na jakim wiecu... Zjawił się nawet administrator domu, który protestował przeciw niszczeniu drzwi frontowych, domagając się również otwarcia ich od służby pp. Niezabytowskich.

Drzwi nareszcie otwarto — komornik zrobił zajęcie. I tu zaczyna się

akt drugi tragikomedii.

Teraz bowiem występuje na widownię p. Łącka, obywatelka ziemska, a zarazem teściowa p. Niezabytowskiego.

P. Łącka zwraca się do Sądu ze skargą na swego zięcia i na p. Krzeczkowskiego, a jednocześnie skarżąc się na

agresywne zachowanie komornika.

Meble bowiem mają do niej należeć. Częściowo miała je kupić p. Łącka na dawniej dokonanej licytacji nieruchomości pp. Niezabytowskich, a częściowo

kupiła je u osób prywatnych.

Na dowód swej słuszności p. Łącka dostarczyła Sądowi stwierdzenia osób prywatnych, u których meble kupowała.

Sąd jednak nie uznał tych dowodów za wystarczające

i zarządził zbadanie świadków obydwuch stron.

Sprawa zajęcia tych mebli powróci za tym na wokandę sądową po raz drugi. P. Krzeczkowski jednak będzie musiał bardzo długo czekać, gdyż adwokat p. Łąckiej powołał świadków, zamieszkałych na Kresach Rzplitej.

Zupełnie też możliwe, że p. Krzeczkowski

doczeka się chwalebnie jubileuszu 10-letniego sporu

z potężnym przeciwnikiem, w postaci szambelana papieskiego i b. min. Niezabytowskim.

Oko.

Tenenbaumowa — aniołek

Albo w lwowskim Urzędzie Skarbowym ktoś się... pomylił

Idąc po zgóry wytkniętej linii wyciągania na światło dzienne i piętnowania wszelkiego rodzaju nadużyć i łajdactw, popełnianych w naszym społeczeństwie, w kilku już numerach WIEM WSZYSTKO (nr. 19, 20, 21 i 42) naświetliliśmy niezwykłą aferę, rozgrywającą się na terenie Lwowa.

Bohaterką tej afery jest sławna Frajndla - Fryderyka Tenenbaumowa, współwłaścicielka jednej z najpiękniejszych we Lwowie kamienic, lokalu dancingowego ongiś zwanego „Bagatela" a dzisiaj „Casino de Paris"

jedna z najbogatszych w Małopolsce szynkarek.

Bogactwo „cioci" Frajndli polega jednakże nietylko na dobrze prosperującym przedsiębiorstwie. Na stały, imponujący wzrost magnackiej fortuny składa się również, a może przede wszystkim... systematyczne niepłacenie podatków.

Wedle zebranych przez nas informacyj, Tenenbaumowa co i raz przepisując przedsiębiorstwo to na męża, to na córkę, zwykle osoby materialnie zupełnie nie odpowiedzialne,

to znów wekslując wszelkie płatności na swego ex-wspólnika,

który dawno już ze spółki wycofał się (patrz nr. 42 WIEM WSZYSTKO), od roku 1930 nie zapłaciła ani grosza podatku dochodowego i ani grosza podatku obrotowego.

I oto w szarym człowieku, tak systematycznie i konsekwentnie walkowanym przez wszelkie instancje władz skarbowych, mimowoli rodzi się pytanie:

jak to jest możliwe?

Frajndla Tenebaumowa jest biedaczką! Takby przynajmniej wynikało z zeznania, jakie po zgonie męża — Adolfa,

sprytna „ciocia" Frajndla złożyła w dn. 17 września 1934 r.

u lwowskiego notarjusza dr. Kopystiańskiego.

W zeznaniu tym „stoi" czarno na białem, że cały majątek, jaki pozostał po zmarłym

wynosił... 855 zł. 90 gr., natomiast długów było... 88,229 zł. 29 gr.

Czy można się dziwić, że w takich warunkach biedna wdowa nie mogła wywiązywać się ze swych zobowiązań wobec Skarbu Państwa? Że ta „biedaczka" zajmuje po dziś dzień luksusowo urządzone, 5-pokojo we mieszkanie, w którym znajdują się np. 2 fortepiany, piękne kobierce perskie, że zostały tam jakieś kosztowne precjoza po zmarłym, który miał inklinację do biżuterji, że przebąkiwano o jakiejś grubszej gotówce w obcych walutach, to wszystko nie jest istotne.

Natomiast nie sposób jest oprzeć się zdumieniu, że tasama „biedaczka" skrupulatnie wymigująca się od płacenia należnych od niej podatków, uciułała na posag dla córki, Heleny, która, jak pisaliśmy w poprzednim numerze W. W. zaręczHyła się z lwowskim lekarzem dr. Lachsem,

drobną sumkę 60,000 zł. gotówką.

Żart na stronę. Sprawa Tenenbaumowej przestaje być zwykłą aferą sprytnej kombinatorki, a przekształca się w niebywały skandal, który daje dużo, bardzo dużo do myślenia.

Radomski proces Krzysztoforskiego i kolegów - urzędników skarbowych wyjaśnił nam wiele, dobitnie wskazując na to, że Rząd Rzeczypospolitej tępi zło z całą bezwzględnością, zanim jednak trafi się na trop tego właśnie zła...

Nie mamy zamiaru doszukiwać się jakichkolwiek analogii między niesławnym radomskim urzędem skarbowym, a władzami skarbowymi we Lwowie, ale —

logicznie biorąc coś tu jest nie w porządku.

Mówimy to śmiało i otwarcie.

Bo albo to wszystko, cośmy napisali o aferze „Al Capone w spódnicy" — Fryderyki Tenenbaumowej i jej córki Heleny w nr. nr. 19, 20, 21 i 42 WIEM WSZYSTKO jest wierutnym kłamstwem, wyssanym z palca, bądź też dostarczonym przez niesumiennego informatora, to dlaczegóż u diabła p. Tenenbaumowa czy jej radca prawny nie tylko, że nie zaskarżyli nas po dziś dzień do sądu ale nawet nie przysłali sprostowania albo też wszystkie

nasze informacje odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy,

wówczas... na drugi plan schodzi „ciocia" Frajndla, natomiast co ry chlej trzeba wejrzeć w gospodarkę lwowskiego urzędu skarbowego, bo wtedy nawet laik zrozumie, że jakiś urzędnik musiał... pomylić się, a takie pomyłki, jak nas uczy doświadczenie, bardzo drogo kosztują Skarb Państwa.

XYZ.—

Bestie w ZASP'ie

Odebrali chleb — wyrzucili za drzwi

Człowiek odnosi się naogół dość nieufnie do bestii, co jest zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że bestia ma zęby i pazury, nie ma natomiast żadnych specjalnych względów nietylko już dla... człowieka, ale dla żadnego stworzenia, które odeń jest słabsze.

Stąd człowiek bestię lokuje w klatce i co najwyżej w niedzielne przedpołudnie wybiera się do ogrodu zoologicznego, aby popatrzeć na zwierzaka uwięzionego za kratami.

Zdarza się jednak, i to nawet dość często, że bestii jest „nie do twarzy" w skórze zwierzaka,

którą chętnie zmienia na skórę ludzką.

Ten, może nieco przydługi wstęp, potrzebny był niżej podpisanemu dla wprowadzenia czytelnika WIEM WSZYSTKO za kulisy niezwykłego skandalu, jaki w tygodniu ubiegłym rozegrał się w... lokalu Związku Artystów Scen Polskich.

NIEPOPULARNA ORGANIZACJA

Popularny ZASP, który powstał przed laty jako dobrze pojęta organizacja stojąca na straży praw i interesów aktora polskiego, wprowadzony w życie, zgotował i po dziś dzień gotuje swym założycielom psikusy nieraz wręcz ponure. Wystarczy przypomnieć sławną aferę z ZASP-owym teatrem przy ul. Karowej,

czy głośny dwa lata temu skandal z Jaraczem.

aby stracić cały sentyment dla tej, arcy-niepopularnej imprezy. Coprawda aferę teatralną przyprószył pył przeszłości, coprawda z Jaraczem ostatecznie ugodzono się, ale... ZASP z typową dla wielu jego członków kabotynerią tęskni do tego aby o nim było... głośno. Źle głośno, czy dobrze głośno, to obojętne. Najważniejsze — aby było głośno!

ZAŁOŻYCIEL ZASPU



W roku 1917, w Kijowie, pospołu z Osterwą, młody wówczas aktor Marjan Brokowski, zawieruchą wojenną do tego właśnie miasta wyrzucony,

założył organizację, która stała się zalążkiem „potężnego" dzisiaj ZASPu.

Po powrocie do kraju, tenże sam Marjan Brokowski był pierwszym reżyserem pierwszego teatru ZASPowego w Wilnie, no i prawdopodobnie uważano go w Związku Artystów Scen Polskich za personę grata. Jeśli nawet tak nie było, dla sprawy, którą na tym miejscu omawiamy jest to zupełnie obojętne, tymbardziej, że p. Brokowski może się wylegitymować innym atutem.

Oto w roku 1930 zmontował on przy minimalnych środkach materjalnych teatr objazdowy, składający się z dwudziestu paru osób i mając w repertuarze głośną wówczas sztukę

osnutą na tle sławnej sprawy polskiego robotnika Jakubowskiego,

skazanego na śmierć przez sąd pruski, wyjechał na prowincję.

Z TEATREM OBJAZDOWYM

Dał na tej prowincji w przeciągu 10 miesięcy ponad 250 przedstawień, dotarł ze swym teatrem tam, gdzie teatr wogóle nie trafiał, a że termin objazdu teatru Brokowskiego zbiegł się właśnie z terminem wyborów do Sejmu śląskiego, nic więc dziwnego, że miejscowi przedstawiciele władz administracyjnych wypisywali mu

zaświadczenia-peany, zgodnie podkreślając duży sukces propagandowy tej imprezy.

Nie analizując wartości artystycznych sztuki p. Eleonory Kalkowskiej, która prawdopodobnie więcej była... szmirą, niż sztuką, nie wchodząc w ocenę poziomu gry aktorów, których w swym teatrze p. Brokowski zgromadził, była to wiolskując z nazwisk raczej miernota, musimy stwierdzić, że teatr objazdowy rzetelnie spełnił swe zadanie, że niewątpliwie dobrze przysłużył się polskiej sprawie i chociaż może nie zaszczepił ludowi śląskiemu czy pomorskiemu jakichś specjalnych wartości kulturalno-artystycznych,

to jednak przyszedł do niego ze słowem polskim

i to wtedy, kiedy to słowo, specjalnie na Śląsku miało wyjątkowe znaczenie.

ZASP KARZE!

Ba, ale ZASP tak daleko nie sięgał i oto... zawiesił swego założyciela w prawach członkowskich na 2 lata, za to, że Brokowski ośmielił się wyjechać na prowincję bez podpisania ZASPowej konwencji. Sprawa tych konwencyj była tyle razy walkowana na łamach prasy, że nie będziemy do niej więcej wracali, stwierdzimy natomiast, że Brokowski, który dzisiaj ma 54 lata,

znalazł się w krańcowej nędzy.

Tułał się od teatru do teatru, na tak zw. „dogrywaniu", głodował w sławnym strajku teatru „Comoedia" w podziemiach, gdzie dzisiaj mieści się Teatr Malickiej, w tymże teatrze, w sztuce „Trafika pani generałowej" uzyskał niewielką rólkę, dogrywał w operetce, słowem — z trudem wydrapywał grosze aby samemu utrzymać się na powierzchni życia i chociażby kilkudziesięciu złotymi miesięcznie dopomóc synowi studjującemu na politechnice lwowskiej...

ZA NIEZAPŁACONE SKŁADKI...

A gdy przyszedł któregoś dnia, jak zwykle na popołudniowe przedstawienie do Teatru Malickiej, dowiedział się, że więcej grać nie będzie, że rólkę jego powierzono komu innemu. Dlaczego?

Do dyrekcji zwrócił się ZASP z żądaniem usunięcia Brokowskiego,

który nie zapłacił za dwa lata składek. Uzbierało się tego ponoć ponad 400 zł.

Oczywiście nie placenie składek to zwyczaj bardzo brzydki, ale... jak wyżej zaznaczaliśmy, Brokowski był przez 2 lata zawieszony, nie miał stałej pracy, głodował. Z czegóż u diabła miał płacić te składki? Dowiedziawszy się, że mu odbierają ostatni kawałek chleba, pobiegł do prezesa Śliwickiego, który kolegę nędzarza wysłuchał łaskawie i poradził aby Brokowski to wszystko napisał. Cóż miał robić Brokowski? Napisał, ZASP wziął pismo jego na posiedzenie i...

dał przychylną odpowiedź polegającą na tym, że... pozwolono Brokowskiemu angażować się.

Gdzie? Co? Jak? Oczywiście w to już ZASP nie wchodził i o to nawet nie mamy do niego pretensji, bo chociaż w naszym pojęciu Brokowsskiemu coś tam za tę 10-miesięczną robotę propagandową należy się, chociaż możnaby chyba wynaleźć dla niego jakąś tam zapomogę, chociażby na ten okres póki nie znajdzie znów jakiegoś „dogrywania", to jednak

ZASP ma niewątpliwie bardziej istotne niż nędza ludzka przepisy i trzyma ich się rygorystycznie,

zwłaszcza wobec takich tam Brokowskich...

Wepchnięty w ślepy zaułek nędzy, pamiętający o dziecku, Brokowski, założyciel ZASPu, przyszedł do tegoż ZASPu prosić o pomoc.

„KOLEGA" HALICZ

Pan prezes Śliwicki ręki mu nie podał. Prawdopodobnie Brokowski zachowywał się nie najzupełniej poprawnie, pewno krew go zalewała, pewno głośniej niż należy kazała mu wołać nędza, dość na tym, że p. Prezes wogóle wyszedł z gabinetu, a gdy stary aktor nie ruszał się z miejsca, gdy w tępym uporze trwał w tej przez siebie stworzonej instytucji, która nietylko, że go pozbawiła prawa do życia, ale po faryzeuszowskiej ugodzie nie chciała podać ręki,

P. Halicz-Blumberg, członek zarządu ZASPu, wezwał policjantów aby usunęli z lokalu założyciela ZASPu, Brokowskiego.

Dowiedziawszy się o istocie zatargu, policjanci oczywiście odmówili interwencji wtedy dziarski, wysportowany

pan Halicz, filar polskiej sceny, szanowny członek zarządu ZASPu pospołu z woźnym ZASPowym rzucili się na starego człowieka i... wyrzucili go za drzwi, na klatkę schodową.

SMRODLIWA BESTIA

Nie wiemy, czy p. Brokowski 5-krotnie zemdlał z bólu, czy z aktorskiej histerii, czy może tylko ze wstydu, że z lokalu organizacji, którą sam do życia powołał, wyrzucił go ...kolega-aktor, i nic nas to w gruncie rzeczy nie obchodzi, myślimy jednak, że jeśli, nawiązując do wstępu, p. Halicza między bestie zaliczyć, to chyba te najbardziej parszywe i smrodliwe. I jeszcze jedno— *nie życzymy panu, p. Halicz, aby na starość spotkała i pana taka „niespodzianka", natomiast jeśli dziwnym zbiegiem okoliczności dotychczas nikt pana, p. Halicz jeszcze za drzwi nie wyrzucił, prosimy do nas, redakcja jest coprawda wysoko, na piątym piętrze, ale spotka się pan przynajmniej z młodymi ludźmi, a to coś warte, panie H.*

A gdy w dniu 11 listopada p. minister oświaty prof. Świętosławski, mimo wszystko przypinać będzie panu, panie prezesie Śliwicki słusznie należny złoty Krzyż Zasługi, niech pan nie myśli z rozczuleniem o swej pracy dla Sceny Polskiej, a proszę sobie wtedy z palącym rumieńcem wstydu przypomnieć zrzucanego ze schodów... kolegę Brokowskiego.

Krzysztof Miłosz.

Inwektywy

Pan „redaktor"

Jak większość jego krajan-galicjanderów zjawił się na bruku warszawskim niespodzianie, wykwitł niby... krzew ognisty i odrazu zaczął amcić z talentem... galicjanderom właściwym.

Z tytułem „redaktora" w zanadrzu zaczął wdzierać się do najróżniejszych zakamarków naszego życia. Trzeba mu przyznać, zawsze starannie ubrany, zawsze zaopatrzony w nonszalancki uśmieszek na aroganckim obliczu, zawsze rozczulająco wylewny: „ta pan tu? Ta ja tu, ta tata tu, ta mama tu..." błyskawicznie szybko zaklimatyzował się w Warszawie, na której tyle razy w swych suchotniczych pisemkach psy wieszał.

I żyje, i dobrze się powodzi temu okazałemu panu, który z dnia na dzień stał się luminarzem naszego dziennikarstwa.

Ktoś, zaintrygowany jego błyskawiczną „karierą" na warszawskim bruku, mógłby zapytać nie bez słuszności: jakim to cudem ten „redaktor" z... gazety rolniczej Marka Twain'a tak zgrabnie urządził się w tej Warszawie, gdzie jeśli nie setki, to w każdym razie dziesiątki dziennikarzy przymiera głodem?

Jak on to robi?

I tu oto zbliżamy się do sedna zagadnienia. Pan „redaktor" oficjalnie piastuje godność korespodenta jakiejś bardzo „zołzowatej" gazetki lwowskiej, oficjalnie również jest wysokim dygnitarzem redakcyjnym w bardzo szantażowym przedsiębiorstwie wydawniczym. To wszystko oficjalnie, bo gdybyśmy zliczyli zarobki z tych źródeł, zebralibyśmy może... 100, może 150 zł. Wierzcie mi, w rzeczywistości pana „redaktora" warto szacować na więcej. Świadczy o tym i jego buziaczek, sadełkiem nalany, i jego nieposzlakowany garniturek, i cały tryb życia.

Więc?

Pan „redaktor" potrafił połączyć przyjemne z pożytecznym. Chociaż dziennikarze naogół dość niechętnie odnoszą się do bardziej... zażyłej współpracy z policją, nasz „redaktor" z miasta „semper fidelis" odrzucił precz przesądy i z problematycznym talentem spełnia funkcję... policyjnego łapsa.

Nie ruszalibyśmy tej sprawy, gdyby nie jedna drobnostka. Oto nasze poczciwe „hinciaki", chociaż daleko im do ideału Scottland Yard'u, to przecież naogół traktują swą robotę uczciwie i z dużym przejęciem.

Pan „redaktor" podchodzi do intratnego zajęcia po... pańsku, powiedzielibyśmy nawet po... jaśnie pańsku. Bagatelizuje sobie robótkę, dzięki której trzyma się na powierzchni wartkiego nurtu życia stolicy. I w bagatelizowaniu tym jest niebezpieczny. Bo oto z tytułu rzekomych koneksyj z zawodem dziennikarskim, powierzono mu do „cynkowania" właśnie dziennikarski odcinek naszego życia. Gdyby to robił dobrze. Gdyby to robił uczciwie, tak jak większość jego szarych, nikomu nieznanych kolegów-hinciaków... Niestety.

Lwowski „wunder-kind" upraszcza sobie robotę, generalizuje i wyolbrzymia drobnostki, jest arcy-przewidujący i superszmatławy. Powiedzmy sobie szczerze, jest luetycznym wrzodem na organiźmie dziennikarstwa polskiego. Rozumiemy, że każdy chce żyć, że lepsze pewne 20 zł. od „informacyjnej notatki" o kolegach, niż 200 zł. gaży korespodenta gazetki, która miesięcznie takiej sumy nie ogląda, ale czy określenie „kanalia" nie pasowałoby tu lepiej? *Huron.*

Tydzień ubiegły

Nieomal każdy dzień daje potwierdzenie starego przysłowia: „człowiek, człowiekowi — wilkiem". Rzeczywistość nasza niesłychanie radykalnie rozprawia się z wszelkimi frazesami o... miłości bliźniego czy powszechnym braterstwie.

W ub. tygodniu zostało zakończone dochodzenie w sprawie właściciela najstarszej bodajże w Warszawie ajencji dziennikarskiej Mieczysława Kwiatkowskiego, który przed paru tygodniami... zabił człowieka.

Zawiadomiony o awanturze, gdzieś na peryferiach miasta, Kwiatkowski, jak na dziennikarza przystało, przyjechał na miejsce i w czasie zbierania informacyj został napadnięty przez sprawcę wspomnianej awantury.

Widząc przed sobą napastnika, który do izby dostał się po... wybiciu szyb i wyłamaniu ramy okiennej, widząc, że napastnik ten bynajmniej nie ma zamiaru... głaskać go, ani też prowadzić z nim dyskusji, Kwiatkowski dobył rewolweru i wystrzelił w górę, poczem wziął nogi za pas i próbował wycofać się z niezbyt przyjemnej sytuacji.

Tymczasem napastnik, bynajmniej nie przestraszony strzałem dziennikarza, pognał za nim i wedle relacji prasy, w ciemnym, wąskim kurytarzu usiłował rzucić się na Kwiatkowskiego.

Wtedy padł drugi, tym razem tragiczny strzał.

Oczywiście — życie ludzkie, to wielka rzecz, ale... zastanówmy się.

Pan Kwiatkowski, którego osoba jak i metody pracy bynajmniej nie wzbudzają w nas entuzjazmu, sięgnął po broń nie w jakiejś burdzie karczemnej, nie po pijanemu, a w momencie, kiedy musiał bronić swego życia. Bo chociaż t. zw. obrona konieczna jest dopuszczalna formalnie tylko wówczas, kiedy strona przeciwna jest uzbrojona, to jednak Kwiatkowskiemu trudno było odgadnąć czy napastnik ma przy sobie rewolwer, nóż czy łom, czy też ich niema. Wszystko wskazywało raczej na to, że jest uzbrojony, bo niewielu ludzi, po ostrzegawczym strzale decyduje się gonić z gołymi rękoma człowieka uzbrojonego w rewolwer...

A jeśli nawet napastnik istotnie nie miał przy sobie żadnej broni, natomiast rozporządzał... gorylemi łapami, którymi bez trudu mógłby zdusić fizycznie słabszego odeń przeciwnika, co miał wtedy robić Kwiatkowski?

Jesteśmy przeświadczeni, że przewód sądowy rozproszy te wszystkie wątpliwości i usunie niejasności, jesteśmy przeświadczeni, że czyn Kwiatkowskiego zostanie należycie skwalifikowany i zapadnie sprawiedliwy wyrok, zanim to jednak nastąpi, chcieliśmy zwrócić uwagę na co innego. Oto natychmiast po zabójstwie, Kwiatkowski sam oddał się w ręce policji i został zatrzymany w areszcie. Rozumiemy, że trzeba go było przetrzymać tam 24 czy 48, czy nawet więcej godzin. Jeśli zamiast dwuch czy trzech dni, pozbawiono go wolności na kilka tygodni, to najprawdopodobniej wymagało tego dobro śledztwa, ale... wydaje nam się, że mimo wszystko losem uwięzionego dziennikarza powinien był ktoś chociaż formalnie zainteresować się, w danym wypadku organizacja zawodowa, której aresztowany jest członkiem od wielu lat. Tymczasem o interwencji tej nic nie słyszeliśmy, aczkolwiek zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że Kwiatkowski użył broni w czasie pełnienia obowiązków zawodowych... Jak więc należy sobie tłumaczyć to milczenie. Czyż nie jest ono równie przykrym zgrzytem, jak milczenie Rady Adwokackiej po aresztowaniu Hofmokla - Ostrowskiego, czy to obojętne odwrócenie pleców do tonącego kolegi nie jest najdoskonalszym potwierdzeniem słów: „człowiek, człowiekowi — wilkiem"?

A może mylimy się, może w sprawie pozostawiania Kwiatkowskiego w areszcie, organizacja, której jest członkiem, interweniowała? Szczerze ucieszylibyśmy się gdyby tak było i gdybyśmy mogli na łamach swego pisma wydrukować takie właśnie „sprostowanie".

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

...na granicznej stacji w Zbąszynie, niewykryci złoczyńcy okradli w niewyjaśniony sposób księdza biskupa Kubinę, kiedy wiózł w samochodzie kilkadziesiąt tysięcy dolarów? Dolary przepadły... Ach ta granica...

*

...w lokalach urzędu celnego na terenie wolnego miasta Gdańska zawieszone są na ścianach obrazy Hitlera i jego oddanych? Jest to dziwne z tego względu, że urząd celny w Gdańsku podlega departamentowi ceł ministerstwa skarbu w Warszawie, a funkcjonariusze tego urzędu otrzymują uposażenie ze Skarbu Państwa.

...zarząd miasta st. Warszawy wydzierżawił, przed paru laty, gmach szkolny przy ul. Dzielnej 61, będący własnością hr. Janiny Sobańskiej, córki ś. p. prof. Gubrynowicza i ś. p. Lewenthal za cenę 65 tysięcy złotych rocznego czynszu, na lat dziesięć?

*

...b. wicemarszałek Sejmu, Karol Polakiewicz wraz z posłem sejmowym grupy robotniczej p. Leopoldem Tomaszkiewiczem, organizuje nowy dziennik polityczny, który ma być oddany przez organizatorów do dyspozycji szefa Rządu?

...Państwo toczyło spór z zarządem miasta o niewielki kawałek jezdni przed Zamkiem w Warszawie? Jest to niewielka część Pl. Zamkowego, zabrukowana kostką drewnianą. Dawniej była w tym miejscu fosa zamkowa. Spór Państwa z miastem o tę „pamiątkę" po fosie toczy się już od wielu lat i zapewne jeszcze nie prędko będzie zakończony.

*

...Katowice stały się najmodniejszym ośrodkiem małżeńskim? W ostatnim dniach p. prezydent Katowic dr. Kocur udzielił ślubu trzem parom: Kiepurze i Marcie Eggerth, dyr. Dobiji z IKC i p. Zofii Nakonecznej z TKKT oraz p. Paschalskiemu-juniorowi (synowi znanego adwokata warszawskiego) i p. Tucie Dąbrowskiej, córce właściciela IKC.

*

...popularny w pewnych sferach właściciel biura ogłoszeniowego Bebuś B. zdobył bardzo niecodzienne przezwisko? Oto liczne flamy dziarskiego fauna, gdy widzą go, szepcą między sobą: „idzie totalizator". Warto dodać, że popularny Bebuś na wyścigach nie grywa...

*

...w związku ze swym ślubem Jan Kiepura znalazł się w poważnej opresji? Oto bowiem przy ogłaszaniu zapowiedzi wyszło na jaw, że matka znakomitego śpiewaka jest... Żydówką, tymczasem Hitler mianował w swoim czasie Jana Kiepurę „hofsienger'em", którego to tytułu w Niemczech nie może piastować w żadnym wypadku... pół-żyd, za jakiego w III-ej Rzeszy będzie teraz uchodził Kiepura.

Jak powstają recenzje filmowe?

W tygodniku „Świat" od pewnego czasu pisze recenzje filmowe pewien pan, ukrywający się skrzętnie pod literką „J" i zdradzający wybitny brak znajomości rzeczy. Ostatnio pozwolił sobie jednak na wybryk tak skandaliczny w poważnym piśmie, że należy go napiętnować publicznie.

Pan J. miał podobno jakiś drobny zatarg z właścicielem czy też z dyrektorem kina „Rialto". Wobec tego pan J. zemścił się w nader „inteligentny" sposób, świadczący niezbyt dodatnie o jego uczciwości zawodowej. Mianowicie objechał od góry do dołu" doskonały film „Pan z milionami"!!

Uczynił to zresztą z niedźwiedzią zręcznością, zdradzając odrazu na wstępie, że film jest zły, bo... dyrektor jest niegrzeczny. Wykazuje przy tym również dużą dozę „fachowości" i znajomości przedmiotu, wypisując, że oprócz Gary Coopera i Jean Arthur w filmie tym występują jedynie kwadratowe, obrzydliwe gęby, które „chciałoby się bić i patrzeć, czy równo puchnie" (co za wytworność stylu!).

Otóż, te „pętaki przeklęte", te straszne mordy, na które patrzeć nie można, to: George Bancroft, jeden z najmilszych i najlepszych aktorów, jakich kiedykolwiek miał amerykański film i H. B. Warner, niezapomniany odtwórca roli Chrystusa w „Królu Królów"!!!

Wszystko to byłoby bardzo zabawne, gdyby się zdarzyło w „Głosie z Pipidówki", ale jeśli takie rzeczy się zdarzają w „Świecie", to naprawdę jest bardzo smutne.

L.

Kres kryzysu

A polski przemysł włókienniczy

Wedle danych statystycznych w pewnych odstępach czasu przez Instytut Badań Koniunktur ogłaszanych, życie gospodarcze kraju wkroczyło już na drogę

powrotnej, lecz stałej poprawy.

Składa się na to niewątpliwie szereg racjonalnych i bezprzecznie doniosłych zarządzeń władz centralnych, zmierzających zdecydowanie do usunięcia przyczyn powstałego kryzysu.

W pierwszym rzędzie zwrócono szczególną uwagę na konieczną potrzebę przeprowadzenia w resortach ministerialnych oraz podległych im urzędach jak najdalej idących oszczędności. Usprawniono za tym administrację w myśl współczesnych wymagań mających na celu zespolenie aparatu państwowego ze społeczeństwem, co, przyznać należy, *wytwarza atmosferę wspólnego zaufania,* tak nieodzownego w naszych zaniedbanych stosunkach handlowych.

Zbadano gruntownie działalność przedsiębiorstw państwowych, oraz ich zdolności wytwórcze. Wreszcie unormowano w pewnej mierze nasz eksport, który ma doniosłe znaczenie dla kształtowania się naszego bilansu aktywnego, i *ograniczono do minimum import,* jako czynnik, destrukcyjny bilansu.

Wszystkie te zarządzenia zmierzają najwyraźniej do zrównoważenia naszego budżetu, który dostosowany być winien do istotnych możliwości płatniczych społeczeństwa, nie obciążając zbytnio jego warsztatów pracy.

Prasa powołana jest do ciągłego uświadamiania opinii publicznej o wszelkich przemianach, dokonywujących się w rozbudowie organizmu państwowego, podając jednocześnie przyczyny je wywołujące. Zadaniem prasy jest również *tępienie z całą bezwzględnością wszelkich objawów, szkodliwych dla normalnego rozwoju naszego bytowania.*

Nie trzeba dowodzić, że głównym filarem bytu państwowego jest niezawodnie jego dobrze rozwinięty przemysł, który i w historii rozwoju naszej potęgi mocarstwowej odegrał wybitną rolę.

Z tego założenia wychodząc, zamierzamy w najbliższym czasie poświęcić tej dziedzinie na łamach naszego pisma szereg prac doskonałych znawców wyczerpująco i fachowo opracowanych artykułów, przy czym w pierwszym rzędzie pragniemy poddać gruntownej analizie przodujący w kraju stanowiący niezaprzeczalnie *najżywotniejszą arterię naszego życia ekonomicznego przemysł włókienniczy.*

Ze względu na ważkość problemu, zwłaszcza w dobie zarysowującej się lepszej koniunktury gospodarczej, spodziewać się należy, iż nasze wysiłki w zamierzonym kierunku dadzą pozytywne wyniki.

Redakcja nasza zainteresowała się obecnym stanem kartelizacji przemysłu krajowego, która, jak wiadomo, była w swoim czasie przedmiotem ożywionych dyskusyj, zarówno w łonie czynników decydujących jak i poważnych sfer gospodarczych.

Z uwagi na ostatnie i energiczne i celowe posunięcia rządu w kierunku uzdrowienia gospodarki narodowej, sprawa kartelizacji (przemysłu znowu wypływa na światło dzienne.

Pismo nasze, czułe na wszelkie przejawy życia gospodarczego, omówi w najbliższych numerach ważkie to zagadnienie z całkowitym obiektywizmem.

Refleksy gospodarcze

O groteskowości obecnego systemu wymiany towarowej między poszczególnymi państwami, opartego o politykę kontygentową, przeczącą niejednokrotnie zdrowemu rozsądkowi, może świadczyć następujący fakt.

W porcie Tallińskim leżą obecnie niedaleko od siebie dwa statki: jeden z nich wyładowuje polskie żyto przeznaczone dla Estonii, drugi ładuje żyto estońskie dla Finlandii. Czemu więc nie posyła się polskiego żyta bezpośrednio do Finlandii? Wobec nieurodzajów Estonia jest zmuszona przywozić żyto z Polski, skąd otrzymała już obecnie osiem tysięcy tonn po dziewięćdziesiąt koron za tonnę. Estonii natomiast przysługuje na zasadzie umowy kontygent eksportowy do Finlandii w wysokości 8 tysięcy tonn. W Finlandii za tonnę żyta osiąga się obecnie cenę 140 koron. Na całym kontygencie czyni to różnicę na niekorzyść Polski 400 tysięcy koron.

*

W toczących się obecnie, a częściowo już zakończonych rokowaniach polsko-niemieckich w sprawie wyznaczenia kontygentów dla wymiany towarowej strona Gdańska wysuwa żądanie specjalnego uprzywilejowania rynku gdańskiego. Dotyczy to zarówno eksportu do Niemiec, jak przede wszystkim wyrobów niemieckich. Czynniki gdańskie twierdzą bowiem, iż zdolność nabywcza Wolnego Miasta dla towarów niemieckich jest niewspółmiernie większa od konsumpcji ogólno polskiej.

Żądania te łączą się ze znanymi dążeniami gospodarki gdańskiej do utrzymania jak najściślejszego oparcia się o produkcję niemiecką na niekorzyść wyrobów polskich, które do niedawna jeszcze dzięki wielkim wysiłkom przemysłu polskiego zyskiwały sobie na rynku gdańskim cenione i pokaźne miejsce.

Są to rezultaty tendencji hitlerowskich w gospodarce gdańskiej. Dzięki nim od pewnego czasu zaczęła się przejawiać ostra niechęć do towarów polskich, popierana na odcinku politycznym aż nazbyt dobrze znanymi hasłami, a w dziedzinie gospodarczej wprowadzeniem w życie momentów wystarczalności narodowej.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewia — Kino

„WROBLE GNIAZDO“ (Teatr Kameralny). Historia polega na tym, że pewien Szwajcar schował testament do papierośnicy. Z pozornie niewinnego żartu, zrobiła się głęboka tragedja, bo gdyby testamentu nie było, nie byłoby również tego nudnego przedstawienia, w którym zupełnie zbytecznie Adwentowicz marnuje swój niepospolity talent. PP. Grywińska i Grudzińska są arcy-nieprzekonywujące, a reszcie lepiej wogóle nie mówić. W tym samym gmachu grają żydowski film o całe niebo bardziej interesujący niż ten mocno... dziurawy serek szwajcarski.

„ZŁOTY WIENIEC“ (Teatr Letni). — TKKT reklamuje nowy „przebój“ z Saskiego Ogrodu jako... komedję angielską w rzeczywistości jest to bardzo zaawansowana angielska... choroba p. Warneckiego i całego zespołu, który poza pp. Wysocką i Żabczyńską jest niemożliwie denerwujący. Gdyby to jeszcze Kadena dobija się wytwórnia filmowa możnaby uwierzyć, ale na bzdurę w Letnim szkoda wydać nawet 50 groszy.

„CISSY“ (kino „Colosseum“). Przyzwoicie odnowiony i przerobiony kino-teatr „Colosseum“ wystąpił na otwarciu z nudnym i podławym filmem „Cissy“, który stanowi jawną kompromitację reżysera von Sternberga. Obraz opisuje w sposób nieudolny dzieje miłości młodego cesarza Franciszka Józefa i Elżbiety. Tło filmu przypomina bardzo „Mayerling“ i stanowi parodię tego pięknego filmu. „Cissy“ zawiera zaledwie kilka lepszych scen. Elżbieta śpiewa co kilka minut bez sensu i potrzeby, tylko dlatego, że... gra ją Grace Moore. A Franchot Tone niewiele pokazał, bo nie miał co.

Widz.

Nad program — inteligentnie wykonany i ciekawy dodatek Ryszarda Biskego o Muzeum Narodowym, prastary tygodnik PATA i bardzo dobra rysunkówka. Mimo to, radzimy wstrzymać się z pójściem do „Colosseum“. Może jego następne programy będą lepsze.

X. 27.—

Szampańskie noce dyplomaty

W cieniu... debetowych rachunków

Służba dyplomatyczna w okresie niezwykle rozwiniętej standaryzacji i królowania szarego człowieka, rozjaśniona jest nimbem tajemnego uroku, który promieniując z każdego dyplomaty, zwykłego (zjadacza chleba niejednokrotnie przyprawia o... zawroty głowy, a już z reguły każe odnosić się do najdzikszych psikusów panów z Foreigne Office *z nadspodziewanym pobłażaniem.*

Tym prawdopodobnie należy tłumaczyć fakt, że po dziś dzień żyje i hula w Warszawie „dyplomata“, który na tle akredytowanego przy rządzie polskim korpusu dyplomatycznego odznacza się niezbyt dodatnio.

Jeszcze niedawno miały z tym panem, piastującym godność *chargé däffaires jednej z wielkich republik południowo-amerykańskich,* nieskończoną ilość kłopotów... sklepy radiowe. Okazało się bowiem, że dorastający synek dyplomaty, zajeżdżał pięknym Pacardem ze znakiem „CD“ po kolei do każdego z tych sklepów, wybierał najkosztowniejszy aparat, kazał odwozić do poselstwa i... na tym koniec, bo już pieniądze wydostać za taki aparat było bardzo trudno, jeśli nie zupełnie niemożliwe.

Na szczęście, po pewnym czasie synalek dyplomaty zniknął z gruntu warszawskiego, aby jednak tradycja nie wygasła, zaczął szaleć tata. Tu dla informacji musimy dodać, że pan poseł jest diabelnie kochliwy, a specjalnym sentymentem obdarza *wszelkie „artystki“ występujące w nocnych lokalach.*

Ponieważ z „artystkami“ tymi najłatwiej można dojść do porozumienia przy... kieliszku, więc dyplomata zamawia! Oczywiście najdroższe trunki, najwykwintniejsze potrawy, najkosztowniejsze, południowe owoce... Zamawia i... nie płaci.

Nie chcemy być gołosłowni. Mniej więcej dwa tygodnie temu pan poseł, w towarzystwie paru dam „zajrzał“ do jednego ze stołecznych dancingów. Zabawa była szampańska, *rachunek wyniósł 116 zł.*

Dla szarego człowieka jest to suma wręcz zawrotna, bardzo wielki procent ludzi w Polsce żyje za taką sumę przez cały miesiąc, ale to nie ma nic do rzeczy, bo po 1-sze, pan poseł jest doskonale uposażony, po 2-gie, osobiście jest ponoć niezwykle bogatym człowiekiem. Mimo to — lubi potargować się. Tak było i w tym wypadku. Dyrekcja zmniejszyła rachunek do... 100 zł. Pan poseł zapłacił? Nie, uchowaj Boże! Zabrał panie, wsiadł do Packarda i odjechał, nie racząc nawet podpisać rachunku. Można oczywiście i tak, gdyby chociaż ten rachunek został uregulowany dnia następnego, czy drugiego lub trzeciego, ale od wizyty dyplomaty upływa już prawie dwa tygodnie. Dancing molestuje bezkutecznie, *pan poseł nie chce o niczem słyszyć.* Zwykły śmiertelnik miałby za taką historię piękną sprawę o szalbierstwo, dyplomata chodzi, a raczej jeździ bezkarnie. Czy to jednak przystoi, amigo Don Jose?... Zwłaszcza, że nie jest to pierwszy ani niestety, ostatni podobny wypadek.

Oko.

Na czarnym parkiecie B-ci Front

Zaciszna ulica Króla Alberta w Warszawie zmienia całkowicie swój charakter, gdy zejdzie się do podziemi domu nr. 6, gdzie mieści się nowy luksusowy dancing stolicy Braci Front.

Na ulicy cicho i głucho w nocy. Tylko długi rząd taksówek i dorożek czeka na gości. A tymczasem na dancingu gwarno i wesoło: goście się bawią.

Po czarnym parkiecie, inowacji w dancingach stołecznych, suną w takt tang liczne pary. Zgaszone światła, tylko oświetlona biała estrada daje niesamowicie piękny efekt.

Wszędzie wesołe, rozbawione twarze. Na sali dancingowej kwitnie bujnie radość życia. Przyczyniają się do tego w znacznym stopniu świetne występy artystów.

A tuż obok, w małym przytulnym coctail-barze kontrast: rozmarzone miny par i szeptanie. Wiecznie szepczące tajemnice miłości...

Przyjemnie jest w „F. F.“. Miło, wesoło, beztrosko, swobodnie.

Warto tam iść.

n.

„Ja zdzieś car!“

Dziwy w Operze

Tegoroczny sezon operowy pod dyrekcją p. Mazarakiego, jak narazie, przedstawia się wręcz fatalnie. Podczas premiery „Dzwonów Kornevilskich“ doszło nawet do

demonstracyjnego sykania na widowni.

Nowemu kierownikowi reprezentacyjnej sceny stołecznej nic nie pomagają fraki i smokingi bez których nie może pojawiać się na widowni premierowa publiczność... Rekord złych recenzyj zdobył sobie sławny już ze swych absurdalnych pomysłów

„baletmistrz“ Ajzyk „Leontiew“.

Ewolucje taneczne tego przybłędy, który z nieprawdopodobną bezczelnością posługuje się podczas prób językiem rosyjskim, gęsto przetykanych takimi powiedzonkami pod adresem zespołu, jak np.: „małczat“, „ubirajsia won“, „ja zdzieś car!“; spotkały się z niezwykle ostrą krytyką całej prawie prasy stołecznej.

Otoczony miernotą baletową, Ajzyk „Leontiew“ bezkutecznie usiłuje zaszczepić publiczności warszawskiej typową mierzwę modernistycznego tańca, jakże nikłą przy wspaniałych tradycjach baletu warszawskiego.

Nie sposób jest oprzeć się niemiłemu zdumieniu, że ten wyzuty z talentu przybłęda taneczny, właśnie u nas znalazł przytułek,

że u nas zarabia ponad tysiąc złotych, że właśnie u nas jakiś urzędnik, oczywiście na czyjeś mniej lub więcej „wysokie polecenie“ wydał mu zezwolenie na prawo pobytu i zarobkowania. Bardzo to przykre, ale, niestety.... prawdziwe.

k. m.

Pod światło

Od paru tygodni „Świat“ drukuje powieść Gustawa Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów“. W odcinku z dn. 31 ub. m. czytamy:

„Gdy puścił w ruch w łazience bicz wody, przywracający ciału zmęczonemu sprawność, gdy szczycił się, że nawet w ubikacji ma żardinierę kwitnących roślin“...

Było nie było, panie konsulu, ale ten pański bohater to jest trochę myszygene, albo też, jak za dawnych, wojennych czasów — zamiast papieru — listek!

*

Wieczór Warszawski zaznajamiając swych czytelników z tym co mają nasi pisarze na warsztacie w nr. z dn. 31 ub. m. donosi:

„E. M. Schummer-Szermentowski, który nakładem Wł. Michalaka wydaje dwie powieści „Historia jednej blagi“ i „Karierowicz“, pisze obecnie powieść satyryczną p. t. „Targowisko snobów“.

Rany Boskie, ratuj się kto może!!!

*

W Dzienniku Bydgoskim z dn. 15 b.m. Czytamy z przerażeniem:

„wieczór jedzenia kiszek własnego wyrobu...“

Zaś ale, rodacy, gdzie jesteśmy, w Bydgoszczy czy na Nowei Gwinei?

*

Wieczór Warszawski z dn. 14 b. m. przynosi następującą notatkę:

„AUTOBUSEM W WARSZAWIE.

Rumuński minister spraw zagranicznych Antonescu podczas pobytu w Białogrodzie, oświadczył korespondentowi P.A.T., iż minister Beck zaprosił go do Warszawy. Zaproszenie to min. Antonescu przyjął z wielką przyjemnością, zaznaczając, że winien jest Warszawie wizytę. Wizyta jego w Warszawie nastąpi w najbliższym czasie. Min. Antonescu wyraził radość, że zobaczy Warszawę, której jeszcze nie zna“.

A jednak ten rumuński to trudny język. Po rumuńsku czyta się: Antonescu, a po polsku... Autobusem. Zdaje nam się, że redaktor Wieczoru, po tym numerze miał... noc św. Bartłomieja.

*

Słuchacz programów Polskiego Radia narażony jest nietylko na ponure audycje różnych mniej lub więcej serio traktowanych „kawałków“, ale musi również (jeśli się w porę nie spostrzeże...) słuchać t. zw. humoru radiowego.

Oto kilka dowcipuszków, zamieszczonych w biuletynie prasowo-propagandowym:

ROZMÓWKA MAŁŻEŃSKA

— Chciałbym aniele, żebyś była jak mikrofon.

— Taka wrażliwa?

— Nie, tylko żebyś nie przerywała mi gdy mówię.

SYTUACJA BEZ WYJŚCIA

— Już mi głowa pęka z bólu. Drze się to radio i drze.

— No to czemu nie zamkniesz aparatu?

— Jakto? A za co zapłaciłem abonament?

PORADY TECHNICZNE.

Ona: — Najdroższy, nareszcie jesteśmy sami.

On (do siebie): Bałem się tej chwili. Co ja mam robić?

Głos z głośnika: — Za chwilę na pytania słuchaczy odpowie i porad technicznych udzieli red. Fracław Wenkiel.

ŻONA CZY RADJO?

— Czuję się taki samotny w domu, że postanowiłem się ożenić.

— Zamiast się żenić kup sobie lepiej odbiornik radiowy.. Też dobrze robi na samotność, a można go zawsze zamknąć, gdy zadużo mówi.

Biedny słuchaczu, ofiaro sanhedrynu z ul. Zielnej, Mazowieckiej i pl. Dąbrowskiego, nie namawiamy Cię do zbrodni, ale... przyznaj się, cobyś zrobił gdybyś tak w ciemnej, czy nawet jasnej ulicy spotkał autora tych „dowcipów“? A potym cię jeszcze namawiają, żebyś był optymistą...

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej. Konto w P. K. O. Nr. 15,581

edaktor: Henryk Sieciński. Wydawca: Włodzimierz Popławski

Druk. „Kolumna“ Warszawa, Nowy Świat 39